

AKTOR — marzenia, myśli, rozterki

NINA ANDRYCZ

Szkic do autoportretu



Motto:
Placzymy dlatego, bośmy weszli
na tę wielką scenę błaznów
(Szekspear Król Lear)

Autoportret aktorski w ramach 25-lecia?
Trudne zadanie.

Jeszcze zanim się rzuci na papier pierwszy szkic takiego portretu — wypada przyjrzeć się nieuniknionym trudnościom, wylaniającym się z samego tematu.

A przynajmniej — zasadniczym trudnościom.

Jedna z moich najukochańszych bohaterek scenicznych Święta Joanna, powiedziała „Nikt nie zna całej prawdy”. Wyrzekła te mądre

słowa na sfingowanym procesie, na którym, jak wiadomo, skazali ją na stos.

Aktorka, ja, niedoskonale wcielenie sceniczne tej Sprawiedliwej, mogłabym dodać: „I nikt nie zna całej prawdy o sobie samym”.

Stwierdzenie to nie pretenduje do odkryczości, natomiast upoważnia do pytania — a cóż jest wart nieprawdziwy autoportret?... Oto i mamy już pierwszą trudność w opisywaniu siebie. Skoro nie znamy do końca własnych przeżyć, a zwłaszcza w momencie ich przeżywania — nie możemy odkryć całego bogactwa roli na premierze prasowej. Przeważnie dajemy mniej czy więcej opracowany już szkic.

Ale, na szczęście, niektórzy z nas nie porzestają na tym szkicu. Teraz, pokrótce, o następnej trudności.

Jak opisać słowami i lotnie doznania aktorów? Nawet i konkretne doświadczenia? Jak opisać wpływ aktora na zbiorowość? Przecież gra, a opis gry są to najczęściej dwa zjawiska zupełnie odrębne, i, niestety, nie mające ze sobą wiele wspólnego. Gra Juliusza Osterwy i jego legendarny czar były konglomeratem doraźnych psychicznych i fizycznych oddziaływań artysty na otaczający świat. Jedyny w swoim rodzaju głos, cudowna dykcja, osobisty magnetyzm i prawdómówność sceniczna szturmem zdobywały widownię. A opis tej gry w ówczesnej gazecie przez ówczesnego recenzenta był, ogólnie mówiąc, tylko nieudolną próbką literacką. Słowa jakoś niezręcznie opisują aktorstwo, zawsze jakby mimochodem, i na marginesie utworu literackiego. Ta zmora przesładuje zresztą nas wszystkich do dnia dzisiejszego. Jedną z moich najnowszych bohaterek scenicznych — poetka, mówi: „Jakże mogą opisać siebie słowami? ... Czy moje słowo coś może ... poza wierszem?”

5/1970
A czy moje słowo coś może ... poza rolą? Mam nadzieję, że po tych zastrzeżeniach, cierpliwy czytelnik wyrozumiale przyjmie niniejszy szkic do autoportretu. A szkic zaczyna się, oczywiście, od ... słów.

I, żeby się w nich nie zagubić, muszę świadomie pominąć wszelkie daty, okresy, wptywy, przymusy, zbyt długi spis ról, dokumentację, warsztatowe subtelności i obiektywne bolączki. Pragnęłabym tylko odpowiedzieć na kilka, w moim pojęciu, zasadniczych pytań.

Pytanie pierwsze: — Kim ja jestem na scenie polskiej? Według odziedziczonej po przodkach teatralnych, a wcale niegłupiej nomenklatury jestem — „heroiną dramatyczną”. A kto to jest? Heroina dramatyczna jest to taka istota ludzka, która nie odczuwa świata jako miejsca wypoczynku lub łatwych rozkoszy. Los ma z nią na pieńku. Heroina dramatyczna widzi otaczający ją świat barwnie, groźnie, kontrastowo i problemowo, a więc, w konsekwencji, nierzadko i tragicznie. Różni się tym zasadniczo od z reguły naiwnej i rozszlochanej bohaterki mieszczańskiego melodramatu. Tamta znosi los, poddaje się losowi, moja bohaterka zawsze podejmuje walkę. Czy takie „aktywne widzenie” rzeczy jest również moim osobistym widzeniem? Jak najbardziej. O, bez premedytacji i bez żadnej zasługi, bo ja tego w sobie nie wypracowałam. Po prostu widzę i bardzo czuję ludzi, znajdujących się w sytuacjach konfliktowych.

Rozumiem walkę z losem, walkę o władzę, o miłość, o wolność, o rozszerzenie samowiedomości, krótko mówiąc, — walkę z życiem o życie.

Z tego wynika, że najczęściej gram kobiety o silnej indywidualności. Moje córki sceniczne — to gwałtownice. One wiedzą czego chcą, i, na ogół biorąc, tak mocno chcą, że aż usiłują narzucić swoją wolę ludziom i okolicznościom. Obojętne, czy z woli dramaturga lub historii uda im się to czy nie. Obojętne, czy wystąpią w hiszpańskich koronkach szlachetnej monarchini (Elżbieta Valois), czy w szarym kubraczku rewolucjo-

mistki (Tai Jang), w zbroi uzurpatorki (Baladyna), czy, wreszcie, w tytułach i riuszkach Diany de Belfor (*Pies ogrodnika*).

Wszystkie te kobiety, teatralnie mówiąc, były i są na antypodach tak zwanej „pierwszej naiwnej” a w przyszłości „starej naiwnej”.

Nigdy w życiu nie grałam kobiety-echa, kobiety-bluszczy, kobiety-głuptasa.

Mógłby się ktoś zapytać czy aby istnieją dziś takie kobiety? A, jeszcze jak! I, co dziwniejsze, u nowoczesnych dramaturgów — na przykład u Pintera, u Ionesco.

Skoro już nie usztygłam się przed wymienieniem dwóch okrzyczanych nazwisk, godzi się wymienić inne, wyższe i ważniejsze.

Oto niepełna lista moich najukochańszych autorów: Szekspir, Słowacki, Schiller, Corneille, Wyspiański, Puszkina, Goethe, Shaw, Turgieniew, Garcia Lorca, O’Neil, żeby wymienić tylko największych.

W związku z nazwiskami dramaturgów można by zadać sobie drugie zasadnicze pytanie: Czy Regana, Lady Makbet, Kleopatra, Maria Stuart, Święta Joanna, Elżbieta Valois, Szimena, Maryna Mniszech tj. moje role — były przypadkami na drodze artystycznej, czy może łączy je ze mną jakiś stopień duchowego pokrewieństwa? Naturalnie, że łączy. W przeciwnym razie nie mogłabym ich udźwignąć. Szczególnie w zmiennych koniunkturach naszego teatru. Samo rzemiosło nie wystarczy. A co do powinowactwa duchowego z odtwarzaną postacią, to, oczywiście, niekoniecznie trzeba zabijać panującego, żeby się poczuć w skórze Lady Makbet. Wystarczy być bardzo ambitną. Istnieją wiele nieujawnionych zbrodni, popełnionych z nadmiaru ambicji. Wydaje mi się, że w tym miejscu mogę już zaryzykować sformułowanie trzeciego pytania.

Co choć powiedzieć ludziom przez wszystkie te postacie, niezależnie od oczywistych różnic epoki i charakteru?

Czy, na przykład, istnieją określone stany psychiczne, wspólne wielu moim boha-

tenkom scenicznym? Istnieją! I to już od dawna. Może to właśnie one zabarwią w przyszłości mój autoportret.

Znana maksyma głosi: powiedz mi co cię najbardziej interesuje — a powiem ci kim jesteś.

Otóż mnie, i jako człowieka i jako aktorkę, w zmiennej osobowości ludzkiej interesują najbardziej: miłość, duma, honor, ewolucja świadomości, czy raczej samowiedzy, i nieunikniona pointa — śmierć.

Kilka słów o każdym z tych stanów. Wiadomo, że trzy czwarte ról kobiecych to dzieje miłości, bądź romantycznej, bądź zmysłowej i fatalnej (Beatrice Cenci, Fedra). Ale mnie interesuje, a zwłaszcza będzie interesować nie tylko miłość między kobietą i mężczyzną. Można przecież kochać tak jak doktor Schweitzer, i jego żona kochali swoich trędowatych, jak Maria Skłodowska-Curie — naukę, jak Eleonora Duse — Scenę. Albo po prostu, jak każda dobra matka — swoje niewdzięczne i nieposłuszne dzieci. Jednym słowem można kochać altrightycznie. I trzeba się tego kiedyś nauczyć. Wtedy ani upływ czasu, ani siwiejące skronie w niczym nie umniejszą talentu aktorskiego. Jestem przekonana, że tak można kochać zawsze. Że miłość jest jeszcze niezbadaną formą jakiejś energii uniwersalnej. Aktorce pozostaje tylko znaleźć dla siebie odpowiednie teksty w literaturze, lub inspirować, aby je napisano.

W naszym zawodzie, jak zresztą i w wielu innych, kto nie idzie naprzód szukając nowego, ten cofa się. Jakaż to namiętność przyspiesza puls ludzi biegnących naprzód? Ambicja.

Być znanym społecznikiem, wybić się w nauce, to, zapewne, szczytna i potrzebna otoczeniu, ale przecież nie ofiara, tylko ambicja. Siła napędowa o wielu odmianach. Jądro wielu wspaniałych napisanych ról. Moich — także.

A dalej, pasjonuje mnie ewolucja licznych, czasem najgorętszych pragnień, ich obumieranie, i wreszcie, największa obok miłości przeprawa człowieka — śmierć. Takie

właśnie, rozpalone do białości emocje często towarzyszą moim bohaterkom scenicznym, i Marii Stuart i Safonie, nad którą pracuję obecnie. O miłości i o śmierci opowiem włączyć, ale już nie w ramach tego artykułu.

No, i ostatnie pytanie: Co bym chciała zagrać w najbliższej przyszłości?

Teatr Polski od dawna już obiecuje mi *Bazyliśse Teofanu* Micińskiego. Rzecz na pewno warta realizacji, a rolą rzetelnych wysiłków. Lecz póki kurtyna nie poszła w górę, mogę sobie pomarzyć o... rolach nienapisanych.

Chciałabym zagrać życie Anny Achmatowej (Od królowej salonu literackiego do Mater Dolorosy), życie Grety Garbo (wstała od stołu w środku przyjęcia, o, najmiłsza!), życie Safony (Androgina); życie *Cudzoziemki* według Kuncewiczowej. Zaiste nie są to postacie melodramatyczne. I cóż za kopalnia tematów! (O, niedobrze, niedobrze: zaraz mi coś z tego przepadnie...). W tej chwili spostrzegłam, że koncentrując się na tragedii i dramacie, zupełnie pominęłam uroki dobrej komedii, za którą tęsknię, i że nie opisałam ani swoich aktorskich przywar, ani śmieszności. Obiecuję, iż ogłoszę je wszem i wobec na spotkaniu z publicznością w Krakowie.

A na razie ze skrucą podaję do wiadomości, że zawsze w swoich rolach otwieram przysłowiową szkatułkę wieloma kluczami, wtedy kiedy ona zwyczajnie się otwiera. Co więcej, prawie za każdym razem kiedy coś się na scenie dzieje ot tak sobie, po prostu — przebiega mnie dreszcz.

Rzeczy zwyczajne bardzo mnie zdumiewają i cieszą. Rzeczy zdumiewające są na scenie moim chlebem powszednim. Taki to już jest los heroiny dramatycznej, która zresztą umie czasem zakpić z siebie samej. A choć gra przeważnie rzeczy wzniosłe — ma poczucie humoru, które pozwala znieść codzienność w Teatrze Polskim (tym przy rue Karasia). I, mimo wszystko, pozostaje ów Teatr jedyną instytucją na świecie, której dochowałam bezwzględnej wierności.